

## Wojciech Stanisławski: Jakobini polscy [FELIETON]

Tomasz Kozak oczekuje m.in. utworzenia rejestru przekonań religijnych; zakazywania tych, które zostaną uznane za niebezpieczne; wyboru „funkcjonariuszy organizacji religijnych” w wolnych wyborach parafialnych oraz zdawania przez nich egzaminów z historii etyki, praw człowieka i konstytucjonalizmu. Również – likwidacji seminariów, które zastąpić chciałby „szkołami dla religioznawców i terapeutów świadczących synkretyczne usługi duchowe dla ludności” – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

W tym sezonie jesiennym modny ma być karmel (ewentualnie chłodny beż), kobalt i ekoskóra. Oraz czerwona jakobińska wstążka, może niekoniecznie przy czapce, ale w sercu na pewno. Obrodziły śliwki i republikanizm.

Zaczęło się od niespodziewanej śmierci królowej brytyjskiej. Nie minęło i kilkanaście godzin, gdy polskie media społecznościowe zaroily się od pomstowania na dyktatorkę i kolonizatorkę, jaką okazała się być zmarła monarchini. Takie wypowiedzi wymagały zresztą większej gibkości niż niejedna figura jogi: ich autorzy, powtarzając słowo w słowo skargi nigeryjskich, hinduskich i egipskich krytyków panowania Elżbiety II, dokonywali przecież aktu zawłaszczenia kulturowego, które jest, jak wiemy, jednym z najcięższych grzechów późnego kolonializmu!

*Tak, ludzie rzadko dokonują w sekundę refleksji nad przemianami monarchii brytyjskiej w ostatnim stuleciu, bilansu jej złych i dobrych dokonań*

Inni, roztropniejsi, zadowalali się oburzeniem na banalność słów o „końcu epoki”, powtarzanych niemal przez wszystkich. I tu zgoda, banał zawsze

irytuje, ale chciałoby się rzec – wybaczyć kwiatom we włosach, pijackiej piosence. Tak, ludzie rzadko dokonują w sekundę refleksji nad przemianami monarchii brytyjskiej w ostatnim stuleciu, bilansu jej złych i dobrych dokonań. Owszem, o królowej wiedzieli tyle co z serialu albo z Pudelka: że lubiła psy corgi i miała kłopoty z rodziną. A jednak pisali i mówili o „końcu epoki”, bo tak odbierane bywa zniknięcie kogoś, kto od zawsze, od urodzenia stanowił część czyjegoś świata – i wiadomo było, że nie jest to przywiązanie prywatne. Czy nie lepsze słowo żalu niż mantra o symulakrach i postkolonializmie?

Był to dopiero początek insurekcyjnych porywów: a to poeta Jarosław Mikołajewski (dogłębniejszą analizę jego apeli zostawiam sobie na inny felieton) postawił konkretny postulat: „Nie ma co czekać na wybory. Trzeba ich przepędzić!”, a to Kacper Pobłocki w pięknie płożącym się eseju splótł przemocowość, pańskość i płciowość, obecne w polskich dziejach, w jeden knut. Najgłośniej jednak załopotwały czerwone wstążki na łamach „Krytyki Politycznej”. Wartość diagnostyczna i analityczna publikowanych tam tekstów i manifestów jest dyskusyjna. Największy, jak się definiuje, dziennik lewicy okazuje się jednak prawdziwą –

pozwólmy sobie na skromny oksymoron – krynicą żaru, źródłem emfazy, której próżno szukać w poukładanych tekstach zdiadziałych liberałów i campusowych postępowców.

Najpierw Agnieszka Szpila, ta umie budować frazę, widać zaliczony warsztat z emisji głosu: „piszę dla otrzeźwienia nie tylko własnego – tłumaczy pani Agnieszka – tylko całego oblepionego patriarchatem narodu, patriarchatem zabejcowanym na grubo przez spleciony w obleśnym, cuchnącym, zwietrzałym winem mszalnym i brudnymi banknotami uścisku kapitalizmu i katolickiego Kościoła”. Czegoś brakuje w tym zdaniu, może postawienia słowa „uścisk” w mianowniku, może rezygnacji z tautologii, jaką są „brudne banknoty”, może decyzji, czy wino jest zwietrzałe, czy cuchnące (to dwie różne wonie), z pewnością jednak nie brakuje tu nieopanowania, tak charakterystycznego dla kokietującej nim autorki „Heks”.

Cóż jednak Agnieszka Szpila, która w dodatku, gdy przebrnie przez narzucające się jej tekstom z siłą obsesji wątki priapiczne, cierpiętnicze i proaborcyjne, okazuje się pisać o sprawie naprawdę ważnej, czyli niedopuszczalnej sytuacji prawnej osób otrzymujących tzw. świadczenia pielęgnacyjne dla członków rodziny. Czerwoną wstążkę rozdyma na krosnach swej retoryki do rozmiarów północnokoreańskiego dywanu powitalnego dopiero Tomasz Kozak, marksista.

Kozak w swoim apelu postuluje, krótko i węzłowato, zlikwidowanie przez polskie państwo wszelkiej zorganizowanej aktywności religijnej. Jest to posunięcie, przyznajmy, ambitne, większość XX-wiecznych prześladowców ze względów taktycznych, wizerunkowych czy

*Kozak w swoim apelu  
postuluje, krótko i węzłowato,  
zlikwidowanie przez polskie  
państwo wszelkiej  
zorganizowanej aktywności  
religijnej*

ekonomicznych  
zezwalała na  
funkcjonowanie  
przyczółków kultu.  
Ale nie Kozak, tnący  
od ucha. Jego esej  
skrzy się od erudycji  
– od kantowskiej,  
oświeceniowej  
krytyki religii, przez

de Sade'a szparko mknie ku Smithowi, Engelsowi i Derridzie – ale przede wszystkim od niebanalnych, żarliwych fraz. Już dwa zdania leadu („Oświeceniowa swoboda wyznania miała chronić mniejszości religijne przed prześladowaniem. Dziś gwarantuje bezkarność represyjnych, roszczeniowych, okrutnych instytucji, którym wiecznie mało”) obiecują szybkie obroty, a potem robi się jeszcze cieplej. Nie chcąc zanudzić czytelników, pracowałem chwilę nad wyborem pięciu najbardziej *spicy* fraz Kozaka. Oto one:

– „przekonania religijne” są (...) dopalaczami nienawiści i świeckie państwo powinno je traktować jak dopalacze;

– brudy świętych krów są beatyfikowane;

– upiór [religijności] szaleje jak świat długi i szeroki. Jak hydrze co rusz odrastają mu głowy w lokalnych ekosystemach, kolonizując miejscowe żerowiska;

– [na] mszalne piwo [składa się] denaturat antykomunizmu i melasa kultu papieskiego;

– teologia, ortodoksja i metafizyka są wymysłami papieża oraz jego policjantów (służalczych belfrów, pismaków, politykierów).

Są to sformułowania frapujące, można je uznać za udaną prowokację dziennikarską lub objaw ostrego zapalenia trzustki. Z pewnością nie warto domagać się ich penalizacji, czego gotowy byłby zażądać jeden czy drugi nadgorliwy polityk – zbyt wielką sprawiłoby to przyjemność autorowi.

Najciekawsze są jednak końcowe postulaty eseisty „Krytyki Politycznej”. W duchu najlepszych wychowanków Kuźnicy Kołłątajowskiej, którzy nad określenie „jakobini”, traktowane przez nich jako obelżywe, przedkładali tytuł „Zgromadzenie Obywateli Ofiarujących Pomoc i Posługę Magistraturom Narodowym w celu Dobra Ojczyzny”, Tomasz Kozak oczekuje m.in. utworzenia rejestru przekonań religijnych; zakazywania tych, które zostaną uznane za niebezpieczne; wyboru „funkcjonariuszy organizacji religijnych” w wolnych wyborach parafialnych oraz zdawania przez nich egzaminów z ogólnej historii etyki, praw człowieka i konstytucjonalizmu. Również – likwidacji seminariów, które zastąpić chciałyby „szkołami dla religioznawców i terapeutów świadczących synkretyczne usługi duchowe dla ludności”.

Trudno powiedzieć, co bardziej podziwiać w apelu Tomasza Kozaka: precyzyjną enumerację długofalowych postulatów radykalnej lewicy czy talent do stworzenia *ad hoc* grupy rekonstrukcyjnej, odtwarzającej antyreligijną kampanię Enwera Hodży z wiosny 1967 roku.

Niewykluczone, że uda mu się nawet zaprojektować mundury, nawiązujące do reaktywowanych przez filozofa tradycji PPS (*Partia e Punës e Shqipërisë*, czyli Albańskiej Partii Pracy). Najciekawsze jednak, kiedy przytoczone wyżej postulaty przyjęte zostaną przez któreś z polskich ugrupowań politycznych. Dopiero wtedy obywatele, ofiarujący pomoc magistraturom, odetchnąć będą mogli pełną piersią.

*Wojciech Stanisławski*